

Wojciech Stanisławski: Plamki

„Stygmata” to książka dociekliwa i odkrywczą, gdy idzie o ustalenia jednostkowe, o szczegóły biografii. A jednocześnie suflująca zdumiewające uproszczenia, gdy dochodzi do szkicowania kontekstu historycznego.

Leniwi recenzenci czytają okładkowe blurby, wywiad z autorką, ewentualnie ze dwie wcześniej napisane opinie – i tekst sam się pisze, pełen odwołań do tych konkluzji (czy kontrowersji), które chciał nagłośnić wydawca. Starłem się oprzeć tej pokusie: zacząłem od lektury książki w recenzyjnym pliku pdf pozbawionym okładki, lekturę wywiadu, jaki przeprowadził z autorką Marek Beylin na łamach magazynu historycznego Gazety Wyborczej, odłożyłem na później. Nie zdołałem jednak przeoczyć jednej z pierwszych autorskich opinii o tej książce, opublikowanej w blogu „Książki na ostro”. Jej autorka, wybitna krytyczka Paulina Małochleb, zadeklarowała 22 lutego:

„Trudno pisać się o książce, której każda z 792 stron zostanie przez polską prawicę prześwietlona – wiadomo, że atak nastąpi, znamy jego kierunek i przewidzieć możemy treść”.

„Wiadomo, że atak nastąpi” – to zdanie pasujące do tygodnia, w którym nastąpiło uderzenie Stanów na Iran. Czy jednak naprawdę wiadomo i czy znany jest jego kierunek? I, skoro tak spodziewano się ataku, czy

przygotowano środki obrony? Czy też, jak bywa na medialnych wojnach, atak został nie tyle przewidziany, co sprowokowany – po to, by atakujących ośmieszyła ich niezdolność do refleksji, przewidywalność odruchów, bezsilna, małpia furia?

Cisza przed burzą

Mogło tak być: mogła temu służyć i solidna kampania promocyjna, i opublikowanie w „Dużym Formacie” fragmentu książki, który wyrwany z szerszego kontekstu irytował afektowaną empatią („Coraz mniej jedli. Ona od lat: listek sałaty, kawałek herbatnika. Nakładała sobie na spodeczek porcje jak dla ptaszka, a i tak większość zostawiała”) okazaną osobie często postrzeganej jako emblemat stalinowskich zbrodni sądowych i ucieczki przed odpowiedzialnością za nie.

Mogło, ale nie musiało. Mogą zdumiewać „przedustawne” emocje żywione wobec tej biografii, ukazującej się w końcu w trzydzieści kilka lat po upadku PRL, a co ważniejsze – po opublikowaniu dziesiątków biografii ludzi ówczesnej władzy i ludzi bezpieki, niemal z reguły rzetelnych, niezależnie od tego, czy autorem był Piotr Lipiński, czy Krzysztof Szwagrzyk. Opisano Bieruta i Jaruzelskiego, Szlachcica i Brystygierową, Kiszczaka i Rakowskiego, a ubiegłej jesieni wszyscy, włącznie z „prawicą”, chwalili najnowszą pracę Pawła Machcewicza o Moczarze i moczarowcach. Czemu miałyby stać się inaczej z biografią pióra Katarzyny Kwiatkowskiej-Moskalewicz?

Przeczytaj również: Recenzja książki Pawła Machcewicza „«Partyzanci» Moczara”

Nie wiem, czy uda mi się umknąć prognozom Pauliny Małochleb, napiszę jednak od razu: „Stygmata” jest książką, w jej warstwie ustaleń faktograficznych, odkrywczą, dociekliwą i dobrze napisaną.

Wyzwanie było ogromne: Helena Wolińska niemal od początku swojego dorosłego życia politycznego znalazła się w „kręgu wewnętrznym”: podczas wojny kierowała kancelarią Sztabu Głównego Gwardii Ludowej, w pierwszych latach Polski Lubelskiej (do marca 1949) stała na czele Wydziału Kadr w Komendzie Głównej MO, następnie, aż do odwilży – to najbardziej znana publicznie karta jej życia – pracowała na wysokich szczeblach Naczelnej Prokuratury Wojskowej. Można sobie wyobrazić, z jaką kumulacją utajnień, przemilczeń, zafałszowań i „legendowań” ma do czynienia badacz, który mierzy się z taką przeszłością. Katarzynie Kwiatkowskiej-Moskalewicz udało się jednak ustalić naprawdę wiele. Potrafiła też sprostać „białym plamom”, epizodom, dla odtworzenia których brak danych (jak w przypadku desperackiej misji zwiadowczej Wolińskiej w Radomskie jesienią 1942, w pierwszych miesiącach tworzenia struktur GL) lub zbyt wiele jest niejasności i sprzeczności (jak w przypadku jej udziału w konflikcie wewnątrz PPR i likwidacji braci Mołojców).

Nie najmniejszym wyzwaniem było napisanie „biografii podwójnej”: nie tylko Heleny Wolińskiej, lecz i Włodzimierza Brusa, z którą główną bohaterkę „Stygmata” połączyła najpierw młodzieńcza miłość (i wspólne zaangażowania polityczne), potem – ucieczka spod niemieckiej okupacji do Lwowa i zawarte tam małżeństwo, a następnie – po dramatycznej rozłące od czerwca 1941, skrajnie różnych losach wojennych, po zawarciu przez oboje nowych małżeństw (Wolińskiej – z Franciszkiem Józwiakiem, szefem sztabu GL i AL oraz pierwszym

komendantem MO) – ponowny związek (formalnie – trzecie małżeństwo), dożgonny, w którym przeżyli czasy gomułkowskie, Marzec i emigrację. Ten niezwykle, kojarzący się bardziej z romansem niż historią polityczną, *twist* fabularny, pociąga za sobą konieczność opowiedzenia dwóch życiorysów.

Wiąże się z tym ryzyko dysproporcji: Brus, przy życiorysie niemal równie emblematycznym jak Wolińska i przy istotnej roli, jaką odegrał w budowaniu polskiej gospodarki w formule ortodoksyjnie sowieckiej (do Października) i próbach jej reformowania (między Październikiem a Marcem) – jest jednak postacią, mimo związków z warszawską szkołą historyków idei i dysydenckiej karty z lat 70., zdecydowanie bardziej drugoplanową niż jego żona. Inna jest skala jego przewin i odpowiedzialności, nie dorobił się „czarnej legendy”: na kartach „Stygmatu” powraca trochę jak książkę-małżonek. I to nie okazało się dla autorki przeszkodą: była w stanie poprowadzić narrację dwutorową, dotarła do epizodów z życia Brusa znanych dotąd w najlepszym razie garstce badaczy. Zdołała odtworzyć dramatyczny wymiar życia osobistego i małżeńskiego Wolińskiej i Brusa (okoliczności wojennego rozstania, trudny „powrót” po kilkunastu latach, śmierć pierwszego dziecka i ciężka choroba drugiego, zdrady i wspólna starość) nie pozwalając, by wątki te zdominowały biografię, w pierwszej kolejności polityczną, w drugiej – odtwarzającą poglądy i wizje świata bohaterów.

Czarno i czarniej

Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz potrafiła – dopóki poruszamy się na poziomie konkretów – rzetelnie opisać dynamikę powstawania „czarnej legendy” związanej z dokonaniem Heleny Wolińskiej z czasów stalinizmu. Umiała pokazać posługiwanie się nieraz przez współtwórców tej legendy półprawdami czy uproszczeniami. Tak,

niektóre przynajmniej wypowiedzi Wolińskiej, jakie przypisywano jej w latach starań władz polskich o jej ekstradycję, były w rzeczywistości opiniami brytyjskich dziennikarzy. Więcej: jej bezpośredni udział w działaniach, które doprowadziły do stracenia generała Fieldorfa, był relatywnie niewielki. Tak, podpisała wniosek o jego aresztowanie na czas śledztwa, manipulując datą zatrzymania „Nila”; owszem, bezprawnie przedłużała jego pobyt w areszcie. Od momentu przejęcia śledztwa przez Prokuraturę Generalną w lecie 1951 nie miała już z nim jednak nic wspólnego.

Stwierdziwszy to, badaczka w żadnym razie nie uchyla się od wymieniania kolejnych aktów bezprawia dokonywanych przez Wolińską w Prokuraturze Wojskowej, z których część można zapewne uznać za zbrodnie sądowe. Nie przemilcza czynów dotychczas nieznanymi najgłośniejszym krytykom Wolińskiej: oskarżenia robotnika rolnego, który w pijackim amoku podpalił stóg siana, o udział w spisku przeciw Polsce Ludowej, co spowodowało zasądzenie (i wykonanie) wyroku śmierci; „szycia” spraw niewiarygodnych nawet dla ówczesnych sądów, wyjątkowej nieżyczliwości wobec dzieci i rodzin skazanych, donosicielstwa do Komisji Kontroli Partyjnej, brutalności.

To portret fanatycznej funkcjonariuszki – i Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz stawia, wydawałoby się, kropkę nad i, komentując deklarację Wolińskiej, że „przydzielili ją tam [do Prokuratury Wojskowej – ws] i nie było do dyskusowania”. „Nie oznacza to jednak, że nie było wyboru. Koleżanki Leny z Gwardii Ludowej, choć pozostawały wiernymi komunistkami, poszły różnymi powojennymi ścieżkami. Część z nich zaraz po wyzwoleniu trafiła do MO i Urzędu

Bezpieczeństwa, ale zwykle nie zagrzały tam miejsca. Odchodziły po angielsku: najpierw na macierzyński, potem na cywilne posady” – pisze.

Rodowody uwiedzionych

Zarazem jednak – i w tym miejscu wypada rozpocząć polemikę z książką – usprawiedliwia autorka „Stygmatu” nie tyle poszczególne czyny Wolińskiej (czy, przy zachowaniu proporcji, Brusa) z lat stalinizmu lecz ich (szerzej zaś – warstwy przedwojennej, niezamożnej i radykalnej młodzieży żydowskiej) wybór kierunku. Fascynacji, afiliacji politycznej, a wreszcie związania się z obozem władzy.

Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz sięga przy tym po dwa uzasadnienia, które w sposób uproszczony można określić jako „deterministyczne” („W II RP przed niezamożną dziewczyną z żydowskiej dzielnicy prawie wszystkie drzwi były zamknięte. Po wojnie, po Zagładzie Polska Ludowa dała jej bezprecedensową szansę na życiowy sukces. Wolińska w pełni ją wykorzystała”) oraz „egzystencjalne” („Jej bezwarunkowa wierność PPR, a potem PZPR miała źródła w Zagładzie. Wolińska opowiadała o partii: – To była moja rodzina, a nie moja partia, tak prawdę mówiąc. Jedyna rodzina, jaka jej w 1942 roku została”). Oba jednak wiążą się ze stygmatem: ze „złym urodzeniem”, które w II RP było źródłem upokorzeń, wykluczenia i degradacji, podczas wojny zaś prowadziło ku Zagładzie. Zainicjowanej przez III Rzeszę, lecz realizowanej również rękoma Polaków – i to nie tylko szmalcowniczego plebsu, lecz i struktur polskiego państwa podziemnego! („W głębokim przekonaniu Wolińskiej (mówiła o tym brytyjskim adwokatowi, którzy bronili jej od końca lat

dziewięćdziesiątych przed ekstradycją do Polski) w czasie wojny partii – i jej osobiście – zagrażali nie tylko Niemcy, ale też Państwo Podziemne ze swoim antykomunistycznym oddziałem”).

Czy rzeczywiście „złe urodzenie” było tak potężną determinantą? Czy w II RP nieodwołalnie skazywało na status obywatela (w najlepszym razie) drugiej kategorii, co z kolei musiało zaowocować przed wojną – zaangażowaniem w struktury komunistyczne czy poputczikowskie, podczas wojny – w konspiracje promoskiewskie, a po wojnie – tworzeniem struktur opresyjnej władzy? Tak, był to wybór popularny: świadectwem biogramy, ale i rymowane dystychy „Opowieści pewnego emigranta” Kaczmarskiego: upraszczające, odwołujące się do stereotypów, a zarazem tylu ludziom z kilku już pokoleń dające pierwsze, przybliżone wyobrażenie o tragizmie tamtych wyborów:

*Nie bój się, nie zabraknie. To krajowa czysta.
Ja, widzisz, przed wojną byłem komunista,*

*Bo ja chciałem być kimś, bo ja byłem Żyd,
A jak Żyd nie był kimś, to ten Żyd był nikt.
(...)*

*Ja bankierem nie byłem ani wirtuozem,
Wojnę w Rosji przeżyłem, oswoiłem się z mrozem*

*I na własnych nogach przekroczyłem Bug
Razem z Armią Czerwoną, jako politruk.*

*Ja byłem jak Mojżesz, niosłem prawa nowe,
Na których się miało oprzeć odbudowę.*

Naturalnie, na pytanie o determinanty nie da się odpowiedzieć ani w artykule, ani w pojedynczej książce. To jedna z centralnych kwestii w rozmowie o polskiej historii XX wieku, w której uwzględnić trzeba bezlik czynników: procesy narodotwórcze i strukturę ludnościową ziem polskich, porozbiorową sytuację gospodarczą i Wielki Kryzys, endeków i folkistów, polemiki i pojedynki. Bieg nurtów marksizmu, ale i myśli religijnej, i wyobraźni, i doktryn politycznych, i poetyk; ale i kremlowskich projektów podporządkowania sobie Europy Środkowej, i gier wywiadów, i wreszcie niezliczonej niemal liczby innych elementów, których istnienie ośmiesza każdą zbyt prostą wizję przeszłości, w tym tę o „żydokomunie”. *Quot homines, tot sententiae*, wyborów dokonywano naprawdę wielu.

Pochwała niejednoznaczności

Można jednak, dla podważenia determinizmu autorki „Stygmatu”, przywołać cztery spośród wielu świadectwa zaangażowania, wewnętrznego sporu i ostatecznego uwolnienia od losu bilardowej kuli. Świadectwa bardzo mi bliskie, wszystkie należące do kanonu literatury polskiej, choć różnej miary. Myślę o „Moim wieku” Aleksandra Wata, „Wielkim strachu” Juliana Strykowskiego, „Przyczynku do biografii” Jana Kotta i „Materiałach dowodowych” Romana Zimanda.

Przeczytaj również: Czytelnia publiczna – recenzje Wojciecha Stanisławskiego

Co im wspólne, mimo różnej prozodii, temperamentów i losów?
Dojrzałość. Dystans do przeszłości i do siebie, do zauroczeń i uwiedzeń.
Zmysł proporcji – pozwalający, z drugiego brzegu „Skrwawionych
ziem”, inaczej spojrzeć na II RP i ówczesne społeczeństwo. Z goryczą, z
niezartą pamięcią aktów przemocy politycznej i narodowościowej,
osuwania się kraju ku dyktatorskim formom władzy, „atmosfery
pogromowej” i takich-że aktów, wykluczeń na przełomie urzędowym i
towarzyskim, retoryki narodowców. Ale.. no właśnie.

W kontraście do tego – kilka zdań tylko z różnych stron „Stygmatu”, na
których charakteryzowana jest II RP:

„Współzałożyciel Narodowej Demokracji był naczelnym ideologiem
polskiego antysemityzmu. Jego projekt polityczny wykluczał Żydów ze
wspólnoty państwowej. (...) Obiecywano równouprawnienie. Była to
jednak obietnica bez pokrycia. Żydzi, zasymilowani czy nie, byli w
swoim państwie narażeni na nieustanną dyskryminację. (...). Zgodnie z
tą teorią [doktryną edukacyjną Kościoła – ws] na pełnię praw
obywatelskich zasługiwali jedynie Polacy katolicy. Ukraińcy i
Białorusini mieli się dopiero „spolonizować”. Żydów natomiast chciano
ze wspólnoty wykluczyć.(...) Na początku lat trzydziestych uderzyła w
Polskę fala światowego kryzysu. (...) Do demonstrujących bezrobotnych
strzelały policja i wojsko. (...) Śmierć [Piłsudskiego] pogorszyła sytuację
polskich Żydów. Narodowcy, licząc na zdobycie władzy, uderzyli w
antysemickie werble. Ich bojówki panoszyły się na ulicach (...) Hasłem
bojkotu ekonomicznego przyklasnął kler katolicki. Rozpoczęła się fala
pogromowej przemocy”. A, i jeszcze znakomity portret Lwowa: „Miasto
genialnych matematyków. Miasto kabaretów, kankana i doskonałej

kawy. Miasto przemocy, gdzie polska armia zaczęła swe porządki od pogromowych mordów. Miasto, które jako pierwsze wprowadziło getto ławkowe”.

Czy któreś z tych zdań jest jednoznacznie fałszywe? Radbym dopytać, w którym z projektów Dmowskiego z lat odbudowy państwowości polskiej pojawia się myśl wykluczenia Żydów ze wspólnoty państwowej, zdumiewa mnie fraza o „nieustannej” dyskryminacji i ciekaw jestem jej form (ustawy rasowe? Wydzielone platformy tramwajów? Pozbawienie praw politycznych?). Przy większości sformułowań jednak można odwołać się do konkretnych faktów: tak, zdarzały się przypadki używania do „pacyfikacji” strajków i protestów nie tylko policji, lecz i wojska (od zamieszek krakowskich jesienią 1923 po strajki w Zagłębiu Dąbrowskim). Bojówki ONR były obecne na ulicach i uczelniach, wiemy o kilku co najmniej sytuacjach pogromowych czy quasi-pogromowych w latach 30., od najbardziej znanego Przytyku po Grodno i Bielsko-Białą: nie były to z pewnością „pogromy”, jakie znamy z carskiej Rosji, padły jednak ofiary.

Mój biedny kraju

A jednak: II RP, czyli tło historyczne pierwszej części książki (i doświadczenie formacyjne Heleny i Włodzimierza) jako państwo wykluczające ze wspólnoty państwowej? Rozbrzmiewające salwami wojska i policji – nie akcydentalnie, lecz powtarzalnie, niejako rutynowo? Gdzie mamy do czynienia z falami masowej „pogromowej przemocy” – w dodatku, żeby wzmocnić zabarwienie emocjonalne takiej panoramy, z *panoszącymi się* bojówkami, którym *przyklaskuje* kler?

Potężna to selekcja materiału. Taka, w obliczu której można osłupieć – później zaś wspomnieć na artykuł Wandy Wasilewskiej opublikowany na łamach „Sowieckoj Ukrainy” jesienią 1939 roku, a przywołany w wierszu z bardzo dawnych czasów (lato ’83)

„...Polska,

*której symbolem była policyjna pałka
i obóz koncentracyjny, Polska, która ciemniała,
która pozwalała na niesprawiedliwość,
Polska, która zdradziła swój naród...”*

(Jan Polkowski, „Etap”)

Oczywiście, strzeżmy się uniesień: przytoczone przeze mnie zdania ze „Stygmatu” ukazały się w wolnym kraju, są jednym z wielu głosów w naukowej debacie, świadectwem być może pewnej nonszalancji warsztatowej autorki, być może jej niewystarczająco temperowanych emocji. A jednak. „Do demonstrujących bezrobotnych strzelały policja i wojsko. (...) bojówki (...) panoszyły się na ulicach”. Mój biedny kraju.

Systematyczne omówienie wizerunku II RP na stronach „Stygmatu” i jego dyskusyjnych rysów wymagałoby rozbudowanej polemiki, z licznymi odwołaniami do tekstu książki, opracowań i źródeł. W tym miejscu można wspomnieć o daleko posuniętej selektywności, pociągającej za sobą co najmniej uproszczenia i półprawdy. O niefrasobliwości w doborze źródeł i łatwości generalizowania:

Katarzyna Kwiatowska-Moskalewicz wspomina pensję dla panien, gdzie „odprawiano nabożeństwa żałobne [jak liczne? – ws] za Eligiusza Niewiadomskiego – straconego zabójcę prezydenta Narutowicza”. Zgoda, takie inicjatywy się zdarzały, mimo wydanego przez Kurie zakazu. Może jednak budzić szczyptę wątpliwości fakt, że informację o tych komemoracjach autorka podaje za opublikowanymi w roku 1982 wspomnieniami Heleny Zatorskiej – sławnej pracownicy pionu propagandy MBP i MON, po 1956 r. dyrektorki departamentu wydawnictw MKiS, unieśmiertelnionej w powieści Tyrmanda jako pani Stoll, a bibliofilom znanej szerzej jako autorka biografii Wandy Wasilewskiej. Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz jednak nie tylko nie konfrontuje wspomnień p. Zatorskiej z innymi relacjami, lecz przechodzi od fatalnego epizodu do szerszej konkluzji: „W niektórych prywatnych szkołach katolickich prowadzono wręcz antypaństwową politykę”.

Niewykluczone, że za tego rodzaju uproszczeniami stoją nie tyle braki warsztatowe, co nader zdecydowane przekonania i antypatie autorki. Tropienie ich bywa zajęciem o tyle zajmującym, że tego rodzaju febliki ujawniają się zwykle nie w głównym nurcie narracji czy w podsumowaniu książki, lecz w używanym języku, w marginalnych konkluzjach i skojarzeniach. Kiedy czytamy o nieoczywistym życiorysie komunisty Stefana Zarakowskiego („Urodzony (...) w rodzinie zubożałych wskutek rewolucji październikowej ziemian, wychowany «w tradycjach patriotycznych» harcerz, student prawa Uniwersytetu Wileńskiego [! – ws], obrońca polskość na Kresach Wschodnich, urzędnik państwowy ze stopniem oficerskim” może nas zaskoczyć, że *curriculum* to zostało podsumowane przez Katarzynę Kwiatkowską-Moskalewicz słowami „prosta ścieżka polskiego nacjonalisty”. Pozwala nam zarazem zrozumieć, jak łatwo autorce dostrzegać wokół „polskich

nacjonalistów”, skoro do takiej kwalifikacji wystarczy pochodzić ze zubożałej rodziny szlacheckiej, być prawnikiem po USB i urzędnikiem państwowym. Strach spytać o Miłosza...

Sobór gryzie w rękę

Odwiedzając Międzyrzec (gdzie w roku 1942 Felicja/Helena poszukiwała kontaktów z podziemiem i skąd omal nie trafiła do Treblinka) autorka „Stygmatu”, w duchu żalu o „niepamięć Zagłady”, odnotowuje tablicę poświęconą powstańcom styczniowym i cierpko komentuje umieszczony na niej cytat z „z kardynała Wyszyńskiego, choć ten z rewolucyjnym zrywem z XIX wieku nie miał nic wspólnego”. Czy naprawdę zdanie prymasa („Tym, którzy nie poddali się niewoli ducha”) jest aż tak niestosowne? W tymże Międzyrzeczu zauważyła jeszcze Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz zachrypniętą, „na oko pięćdziesięcioletnią mieszkankę miasta”, rezydentkę skwerku, prostacko komentującą rzeźbę „Modlitwa” izraelskiej artystki, upamiętniającą żydowskich mieszkańców miasta zabitych w Zagładzie – ale już nie odsłoniętą w 2024 r. tablicę ich upamiętniającą, choć nie jest dużo mniejsza od „styczniowej”.

Przeczytaj również: (Nie)zapamiętani. Totalitaryzmy i ich ofiary [TPCT 334]

Jeszcze weselej jest z religią: w oksfordzkim Wolfson College, gdzie przez lata wykładał Brus, „w przeciwieństwie do nobliwych oksfordzkich college’ów nie ma (...) kaplic ani innych religijnych symboli [! – ws], (...) bowiem (...) [budynek] powstał w czasach, kiedy wydawało się, że ludzkość może się wreszcie uwolnić od konwenansów”. Niestety, konwenanse trzymają się mocno, podobnie jak akty segregacji, co widać z opisu oksfordzkiego cmentarza

Wolvercote („Religijnych symboli jest niewiele, bo niewiele pogrzebanych tu osób praktykowało judaizm. Kilkaset metrów na północny wschód, w polskiej części, krzyż wieńczy chyba każdy nagrobek. Ten pośmiertny, ugruntowany w religii podział uwierał Janinę Nadaner, młodszą córkę Włodzimierza Brusa. – I ojciec, i Lena całe życie walczyli o świat bez podobnych segregacji – mówiła”). I jeszcze ojciec Stanisława Radkiewicza, który własnego syna wydał sanacyjnej dwójce za przechowywanie czerwonej flagi. Co to za ojciec? „Zaprzysięgły Polak katolik”. Wielki Słownik Języka Polskiego łączy przymiotnik „zaprzysięgły” raczej z poglądami politycznymi niż z ekspresją wiary, jego najbliższym synonimem jest „zagorzały”, a najczęstszym związkiem frazeologicznym – „zaprzysięgły wróg / zwolennik” – ale postrzeganie katolicyzmu jako opcji politycznej pozwala zrozumieć, że często pojawiający się w książce termin „kler” nie jest jedynie echem intensywnej lektury gazet z epoki, lecz wyrazem mocno ugruntowanych przekonań. Stąd pewnie również żal do „komandosów”, a szczególnie może do autora eseju „Kościół, lewica, dialog”, że „dali się uwieść optymistycznej wizji watykańskich reform. (...) Nie chcieli widzieć ciemnych stron potężnej religijnej organizacji [i] ukąszenie heglowskie zamienili na ugryzienie soborowe”.

Mniejsza jednak o te szpileczki, choć w „Stygmacie” tkwi ich więcej niż w poduszeczce krawieckiej (pytanie, czy jego entuzjaści nie dostrzegają ich, czy cieszą się z ich wysokiego brzęku). Bardziej istotny jest główny historyczny nurt książki. A tu dobór faktów i źródeł przekładający się na radykalnie krytyczny, utrzymany w tonacji *noir* obraz II RP (a w mniejszym stopniu również postaw Polaków pod dwoma okupacjami, działalności polskiego państwa podziemnego czy zachowań emigracji w Wielkiej Brytanii) to jedno. Druga praktyka, szczególnie mocno obecna w dwóch pierwszych częściach książki, poświęconych przedwojennym i wojennym losom jej bohaterów, jest trudniejsza do nazwania.

Określiłbym ją (zastrzegając się, że to nieprecyzyjne i robocze określenie) jako zapoznanie, czy może raczej wyłączenie z obszaru opisu i refleksji, szerokiej kategorii polskiej racji stanu.

Piekielna spirala

Nie rzecz w tym, żeby szafować tym pojęciem, wymagać jego zrozumienia i internalizacji przez bohaterów „Stygmatu” czy, *horribile dictu*, używać go do usprawiedliwiania aktów nagannych. Kłopot polega na tym, że autorka – słusznie wymagając od państwa polskiego w dwudziestolecie wysokich standardów równości wobec prawa i ganiąc ich niedotrzymywanie – zarazem zupełnie traci z oczu to, że akces do struktur KPP lub pozostających pod jej wpływem był wypowiedzeniem elementarnej lojalności obywatelskiej, współpracą ze strukturami obcego, wrogiego Polsce państwa. *Particulariter* – pisząc o Teodorze Duraczu, komunistycznym prawniku, który jako jedyny prócz grupy warszawskich intelektualistów ujął się za podsądnymi w tzw. procesie kobryńskim, którym groziły rażąco wysokie wyroki – traci zarazem z oczu (a przynajmniej narracji), że był Duracz wieloletnim współpracownikiem sowieckiego wywiadu, a jego kancelaria koordynowała działalność siatek szpiegowskich penetrujących MSW i Wojsko Polskie.

Generaliter – kreśląc w pierwszych rozdziałach szeroką, empatyczną panoramę „jidyszlandu”, żydowskich społeczności II RP, doświadczanych często ubóstwem, a nierzadko dyskryminacją – opisuje je zarazem w kategoriach jednostronnego odrzucenia przez Polskę i Polaków, niemal (w niektórych porównaniach) „zawiedzionej miłości” młodych Żydów, zafascynowanych polską kulturą – i odrzucanych. Tak, takie doświadczenia miały miejsce – z tym samym żalem i wściekłością,

co dawniej, czytam w „Ali z elementarza”, wspomnieniach Alicji Margolis-Edelman, o dziesięcioletniej Ali, słyszającej „nie, kochanie, nie możesz być z nami w harcerstwie – bo ty jesteś żydóweczka”.

Ale prawdą jest też (znowu – wytłumaczalne historycznie) *désintéressement* istotnej części ludności żydowskiej zamieszkującej ziemie polskie projektami restytuowania państwa polskiego. Obojętność rodziła obojętność, nieufność – nieufność: to piekielna spirala, błyskotliwie nakreślił ją w swoim najnowszym, prowokacyjnym i niewygodnym dla nikogo eseju prof. Piotr Nowak.

Z podobną selektywnością i „wizją *noir*” mamy do czynienia w kolejnych rozdziałach, poświęconych okresom wojny, stalinizmu i późniejszych („W Rzeszowie, Krakowie i Kielcach gęstniała pogromowa atmosfera. (...) W pozagładowej Polsce wciąż szalał antysemityzm”). Podobnie też zrównywane są racje polityczne obu stron. „W głębokim przekonaniu Wolińskiej [przywołuję ten cytat po raz wtóry – *wsj*] w czasie wojny partii – i jej osobiście – zagrażali nie tylko Niemcy, ale też Państwo Podziemne ze swoim antykomunistycznym oddziałem”.

Można rzeczywiście mówić o takim zagrożeniu (choć ani nie przeceniałbym skuteczności AK w konfrontacji z promoskiewskimi siatkami, ani nie składał na państwo podziemne odpowiedzialności za zbrodnie w rodzaju zamordowania Ludwika Widorszala i Jerzego Makowieckiego). Czy jednak oznacza to, że mamy do czynienia z porównywalnymi racjami, że struktury państwa polskiego nie miały prawa do obrony przed infiltracją Moskwy i zdobyciem przez ZSRS władzy nad krajem?

Potem Komedię czytać Boską

To jeden z podstawowych problemów, większy niż kulawe tło historyczne (choć jego deficyty nie zwiększają mojego zaufania do obiektywizmu „Stygmatu”). To praktyka, którą Krzysztof Lasota w jednej z pierwszej recenzji książki, opublikowanej na łamach *Histmagu*, określił mianem „tendencji do przenoszenia ciężaru z odpowiedzialności na kontekst”. Ładna fraza, choć jeszcze zgrabniej ujął to autor „Traktatu moralnego”:

*Nie czas na kpinki, bo się pleni
Szczególny rodzaj schizofrenii.*

(...)

Poczucie, że te moje czyny

Spełniam nie ja, ale ktoś inny.

Kark skręcić komuś jest drobnostką,

Potem Komedię czytać Boską,

Czy stary oklaskiwać kwartet,

Lub dyskutować awangardę.

Na mniejszą skalę to codziennie,

Ktoś mówi: zło jest bezimienne,

A nas użyto jak narzędzi.

Ma rację. I ku zgubie pędzi.

Nie chodzi – postawmy zbyt dużą nadzieję, kropkę nad i – ani o to, bym oczekiwał od autorki dokonania jakiegoś „osądu” nad bohaterami jej książki, ani o praktykę czynienia z Wolińskiej emblematu zbrodni sądowych polskiego stalinizmu (czego, jak widać z książki, na płaszczyźnie publicystycznej nie brakowało) czy posadzenia jej w tej roli na ławie oskarżonych (tu zawahałbym się przed podobnym

oskarżeniem pod adresem III RP). Nie da się jednak ukryć, że droga życiowa obojga ukazana jest mocno deterministycznie: „Większość polskich środowisk odrzucała dziewczyny takie jak Fela [„przedwrześniowe” imię Heleny Wolińskiej – ws] (...) ze względu na ich pochodzenie lub co najwyżej sytuowała je na pozycji aspirujących do roli «prawdziwych» Polek. (...) W połowie lat trzydziestych komunistyczna opowieść o ponadnarodowym braterstwie wielu wydawała się jedynym skutecznym lekarstwem na coraz bardziej powszechną chorobę nacjonalizmu i faszyzmu. (...) Wybór polityczny, którego dokonała Felicja, Janina, Bronka i wielu innych z tamtego pokolenia, wynikał także ze szkolnej polonizacji i z klęski piłsudczykowskiemu projektowi asymilacyjnego. Był więc pochodną spychania Żydów na margines państwa”. *A nas użyto jak narzędzi...*

Powtórzę: raz i drugi w tekście Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz zadaje wprost pytanie o możliwość zawrócenia Wolińskiej z jej infernalnej ścieżki kariery (GL – MO – Prokuratura Wojskowa). Zwraca uwagę, że Brus, skory w 1987 do surowego osądu lat 40. („To było szerzenie (...) propagandy w sensie dosłownym. Jednocześnie pod pretekstem zapobiegania zastraszaniu przez wrogie siły terroryzowano ludność, zwłaszcza aktywnych zwolenników PSL” przemilcza swój udział w tym „szerzeniu propagandy”. Ale nieporównanie więcej jest zdań w rodzaju „Życiową pozycję Zylberberga determinowało przede wszystkim pochodzenie. Jako polski Żyd, mimo talentów, wykształcenia, znajomości języków, w II RP lat trzydziestych nie miał szans na karierę w wojsku, administracji państwowej ani na uczelni. Po wojnie otworzyła się przed nim unikatowa możliwość współbudowania własnego państwa. Warunkiem wstępnym było wyzbycie się wątpliwości”. To te zdania stanowią o deterministycznej wizji losów polskich Żydów w XX wieku.

Gdzie zaczyna się antykomunizm?

Ten determinizm ma jeszcze jeden wymiar. W przekonaniu bowiem autorki ograniczenia (brak szans na „karierę w wojsku, administracji państwowej i na uczelni”), wykluczająca polityka II RP, a w Marcu również PRL, negatywne (dystans społeczny, stygmatyzowanie) lub zbrodnicze (pogromy, szmalcownictwo) zachowania społeczne mają wspólny mianownik: antysemityzm. On też wydaje się stać za uczynieniem Heleny Wolińskiej główną „antybohaterką” społecznych i państwowych starań o ukaranie osób winnych stalinowskich zbrodni sądowych. Tak koło się zamyka: w gruncie rzeczy Polacy okazali się sami sobie winni, skoro – wykluczając Wolińską – popchnęli ją w stronę komunizmu.

Kolejny zwrot interpretacyjny proponuje Artur Domosławski, stawiający w okładkowej laudacji kropkę nad i: „Ta książka (...) obnaża ciemną stronę społeczeństwa, w którym antykomunizm i antysemityzm się przenikają, blokują dostęp do wiedzy o ludziach i epoce, są katastrofą poznawczą i moralną”. To zajmujący zabieg semantyczny: czy wszelkie starania o poznanie przeszłości (w tym sprawców zbrodni okresu stalinizmu) będą się odtąd okazywać „antykomunizmem”, czyli monotematycznym i archaicznym zarazem *fringe’owym* projektem politycznym? Gdyby mimo tych przestróg komuś jeszcze było do antykomunizmu tęskno – okazuje się, że (przynajmniej w społeczeństwie, gdzie zachrypnięte alkoholiczki zerkają nieżyczliwie na pomnik poświęcony Zagładzie) „przenika się on” (Akcydentalnie? Nie, immanentnie) z antysemityzmem.

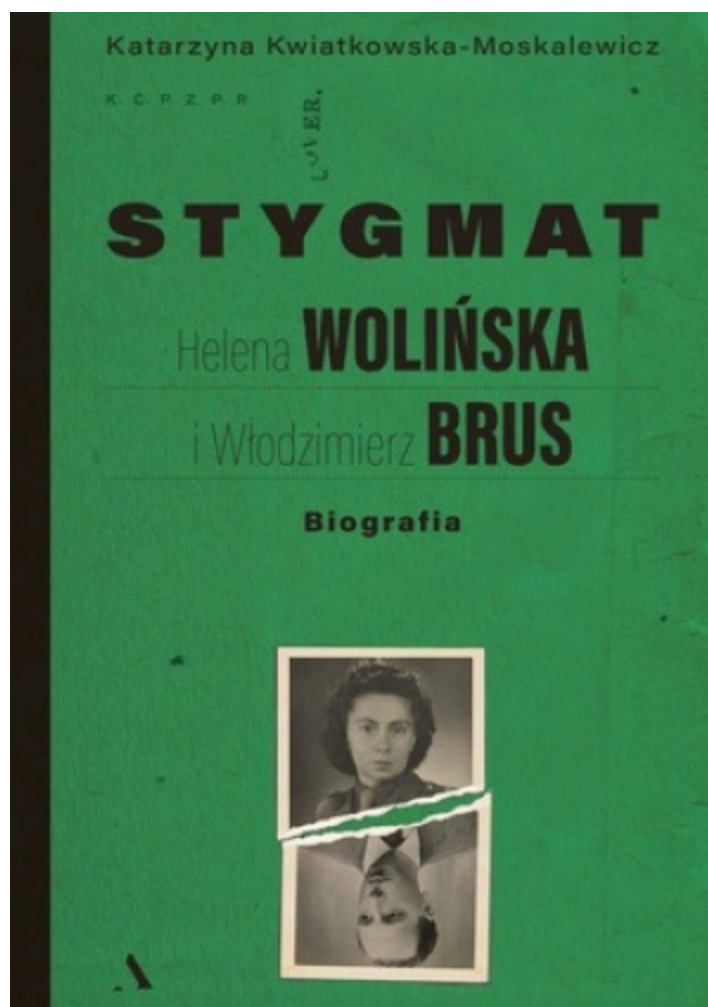
Śmiała teza? Są śmielsze. W rozmowie z Markiem Beylinem na łamach „Gazety Wyborczej” (20.02.) Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz nie tylko uznaje „żydokomunę” za „fantazmat” (z czym zgodziłbym się, szczególnie biorąc pod uwagę potoczny sposób używania i rozumienia tej formuły), lecz za figurę stworzoną intencjonalnie: ma ona „oddalić komunizm od polskiego narodu (...) pokazać, że nowy ustrój został narzucony przez moskiewskie czołgi oraz przez «wewnętrznych obcych»: że etniczni Polacy nie mieli w tym udziału, a jeśli nawet to w minimalnym stopniu. To oczywisty fałsz, krzywdzący i stygmatyzujący wskazaną grupę: komunistów żydowskiego pochodzenia”. Mamy więc klucz do tytułu – ale i bardzo daleko idącą sugestię: istnieją praktyki „uniewinniania” Polaków ze współodpowiedzialności za zaprowadzenie komunizmu w Polsce i jego funkcjonowanie, a zarazem wskazywania kozła ofiarnego w postaci „wewnętrznych obcych”.

Czy wypowiedzi tej treści się zdarzają? Oczywiście. Czy w III RP takie praktyki mają lub miały charakter systemowy? W obiegu publicznym i oficjalnym – nie. Nie rozpoznaję też rzeczywistości w słowach Artura Domosławskiego, że „na temat obojga” (Wolińskiej i Brusa) „stworzono w III RP czarną legendę na użytek walki o władzę nad przeszłością i nie tylko przeszłością”. Czy zmienią się odtąd dopuszczalne odtąd granice badań? Jak sprawić, by dociekania nad rolą pracowników aparatu, którym zdarzyło się mieć żydowskie korzenie? Nie wiem.

Zostaję, jako czytelnik, z bardzo mieszanymi uczuciami. Z uznaniem dla świetnej pracy badawczej nad życiorysami Heleny Wolińskiej i Włodzimierza Brusa – ale i z poczuciem, że „szerszy kontekst historyczny” został fatalnie uproszczony, a miejscami zmanipulowany. Z obawą, że narzucany ciąg przyczynowo-skutkowy „badanie aparatu

władzy PRL prowadzi do antykomunizmu, a ten łączy się z antysemityzmem” nie przyczyni się ani do poznawania przeszłości, ani do rozmowy o niej. Z obawą (może przesadną) że, obok krytyki dokonań Wolińskiej, którą autorka książki podjęła, gdzieś między wersami obecny jest cień fascynacji tą szczególną bohaterką, której brutalność i gotowość do „przeklinania jak szewc” była nie tylko świadectwem traumy, ale sposobem na walkę z patriarchalizmem, obecnym nawet w szeregach PPR i GL. Z ukłuciami po zupełnie zbyt wielu szpilkach. Ale i z gotowością do obrony wartościowych stron tej książki przed „atakami prawicy”, który przewiduje Paulina Małochleb.

Wojciech Stanisławski



Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz, „Stygmata. Helena Wolińska i Włodzimierz Brus. Biografia”, Wydawnictwo Agora, 2026

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► **Przeczytaj wcześniejsze**

